



502,5 zł (130 zł + 372,5 zł), a w kolejnym (502,5 zł + 372,5 zł) 502,5 zł (502,5 zł + 372,5 zł). W ten sposób dopiero w 2014 roku...
...w 2014 roku...
...w 2014 roku...

średnie oprocentowanie kredytu...
...średnie oprocentowanie kredytu...
...średnie oprocentowanie kredytu...

W ubiegłym roku dostaliśmy...
...W ubiegłym roku dostaliśmy...
...W ubiegłym roku dostaliśmy...

weloperów dużą popularność...
...weloperów dużą popularność...
...weloperów dużą popularność...

XY "Złośliwość rzeczy martwych"

Fahrenheit Crew

W prezentowanym tekście można znaleźć błędy chyba każdego rodzaju. Są tu ich stada, tabuny nieprzebrane, do wyboru i do koloru. Oczywiście nie wiadomo także, o czym tekst jest, i co jest właściwie puentą dzieła. Do tego dochodzi zupełnie nic nie mówiący tytuł. Tekst jest tak zły, że najpewniej trafi do kolekcji pewnej redaktorki z upodobaniem do krwi.

Zatem setka, albo dwie, i jedziemy!

Słoneczny dzień już od kilku godzin pokryła mroczna zasłona nocy. <Pierwsze zdanie i od razu wtopa. Nie „pokryła”, a „pokrywała”, skoro jest odniesienie do przedziału czasowego. Poza tym podoba mi się astrofizyka Autora, który twierdzi, że noc to też dzień, tylko taki przykryty. Mroczną zasłonką.> Powietrze, mimo sierpniowej pory, nieprzyjemnie chłodziło ręce i twarz. Wąską uliczkę oświetlały małe latarnie, pozostawiając uczucie niedosytu. <Taa... Niedosytu... W domu, na deser, proponujemy jeszcze *creme brulee* z żyrandola w sosie z lampki nocnej. I nie trzeba tego już nawet podpalać. Samo świeci.> Nieznacznie spękany asfalt i – wyłożona chyba ze sto lat temu – kostka pobocza odbijały echo powolnych kroków. <Czy każde zdanie w tym tekście musi zawierać jakiś błąd? Echo, Autorze, to dźwięk odbity, zatem słyhać było echo odgłosu kroków odbitych ewentualnie od ścian domów, nie od podłoża, bo tam jest źródło dźwięku. Si?> Było już dawno po drugiej w nocy, kiedy opustoszałe zakątki miasteczka znów rozbrzmiały odgłosem miękkich, sportowych butów. <Miał podkute tenisówki...? I jakie „znów”? Wcześniej to kiedy było?> Psy czatujące w pobliskich śmietnikach czujnie nadstawiły uszu. <Czatowały na kolejną porcję śmieci, to jasne. I zastanawiały się, czemu nocą to nigdy nie wychodzi...> Małe, pracownicze miasteczko, za dnia ciasne i tłoczne, w nocy sprawiało wrażenie widma. <Robiło się takie półprzejryste. Ekshibicjoniści byli zachwyceni, wszyscy inni – wręcz przeciwnie.> Stare samochody, stojące zawsze w tych samych miejscach, <Porzucone?> ciemność bijąca z okien, <Mroczne światło, ani chybi...> absolutna cisza, nawet bezpańskie zwierzęta wyglądały jak woskowe figury. <Takie nieruchome? Tu ptaszek w locie... Tam sikający pies... A tam dwie małpy się... No, nieistotne. Ważne, że mamy tu filię muzeum madame Tussaud. Autoru klimat buduje. Albo przynajmniej tak mu się wydaje...> Mężczyzna, który zdołał jak na razie pokonać kilkustopniowe schody, <Gratulujemy zdobycia szczytu. Korona Ziemi słusznie się należy.> <ale z kontekstu chyba wynika, że on je "pokonał" w dół, nie w górę - wyszedł skądś...> spojrzał smętnie na wyludnioną ulicę. <Tu należy tylko zapamiętać, że tajemniczy „on” obejrzał doskonale znaną mu ulicę.>

To zaznaczone na ciemnozielono, to mój pierwszy komentarz do autorskiej uwagi o „pokonanych” schodach, zaś na jasnozielono wypowiedziała się redaktor tego wydania ZakuŹonej. Oczywiście, miała rację – tak wynika z kontekstu. Postanowiłem to zostawić, aby pokazać jak wielkie są umiejętności Autora w mieszaniu ludziom w głowach. Mnie przynajmniej zamieszał.

Czasownik *pokonywać* jest już podejrzany, jeżeli w ten sposób określimy fakt wejścia na kilka stopni. Żaden to wyczyn, nawet dla osoby w podeszłym wieku. Co zostało pokonane? Stąd moja pierwsza uwaga; nie przyszło mi do głowy, że można tak określić inny kierunek niż do góry. Ale nie. Okazuje się, że wyczyn polegał na zejściu z tych kilku stopni, co oczywiście jest jeszcze łatwiejsze niż wejście – niemniej nadal jest określane słowem *pokonywać*. Na marginesie dodam, że dalszej lektury wynika, iż ów „schodów pokonywacz”, to młody i zdrowy fizycznie mężczyzna. Cóż, będzie wesoło...

Znał już na pamięć każdy szczegół otoczenia. Przyrzedziewiały <Do czego?> dodge sąsiada stoi dokładnie dwieście kroków od niego. <Skoro przyrzedziewiał, to co w tym dziwnego? Nigdzie się nie może ruszyć.> Zapewne nadal nie wyczyścił zeschniętych śladów po ptasich odchodach.

<- Brzydkie auto! Brudas! Jeszcze się nie wyczyściłeś?! Każę na żyletki przerobić! Marsz do myjni!!!

- Nie mogę, przyrzedziewiałem...>

Za dodgem sportowa honda będzie świeciła bardziej niż wszystkie latarnie razem wzięte. <A na razie jeszcze nie, bo komplety lampek choinkowych wyszły w okolicznym AGD...> Dzieło młodego cwaniaczka; nie widzi nic poza swoim cackiem. W domu naprzeciwko pewnie znowu prawa zasłonka - ta, która ma w kącie <Gdzie zasłonka ma kąt?> płamę od kawy - będzie odsłonięta. <Plama rzucała się w oczy nawet w nocy. A za dnia tłumy przychodziły ją oglądać. To Matka Literatura Cierpiąca się objawiła.> Nieduże drzewka wzdłuż całej ulicy <Aktualnie obserwowanej ulicy...> będą rzucać złowieszcze cienie na błądą drogę. <A na razie są niedorośle i nie wiedzą jeszcze jak rzucać taki przyzwoity, mhoczny cień na błądą drogę> Trzy kundle zza rogu ulicy znowu nastroszą wielkie uszy. <To jest ekstrawaganckie, ale logiczne, skoro zwierzaki przypominają figury woskowe, to są szczegółami otoczenia. Trzy kundle na rogu ulicy. Stroszą uszy. 24 na 24 godziny i 365 dni. Obok latarnia zostawiająca uczucie niedosytu.> Dioda w olbrzymiej terenówce rektora ciągle ostrzegać będzie o alarmie <Ale co o alarmie? Że go w diodę tablica rozdzielcza uwiera?> , choć on <Rektor?> dobrze wie - właściwie to sprawdził - że to zwykła lipa. Co więcej, stary ramol <Rektor?> do tego stopnia czuje się lepszy od innych, że nawet nie widzi, iż bateria w pilocie do drzwi padła. < Skacze też na główkę do pustego basenu i wchodzi na jezdnię z zamkniętymi oczami. Taki jest lepszy od innych!> Po prostu wychodzi dumnie z auta, przechodzi przez ulicę i - nie patrząc za siebie - teatralnie wciska guzik blokujący zamki. <Wszyscy wiedzą, że rektorzy uczelni wyższych lubią lans i takie przedstawienia. Garniak od Bossa, złoty łańcuch na napakowanej kłacie, obok blachara w lateksie. Jest się w końcu tym rektorem, nie?> Stary pierdziel <Rektor??? Ja się chyba powtarzam...> nie zorientował się <Eee tam, zaraz nie zorientował się. Gość ma pewnie osobowość mnogą i niektóre osobowości jeszcze nie wiedzą o popsutym autoalarmie... Co w tym dziwnego?> , że wielka toyota od ponad dwóch tygodni stoi na ulicy z otwartymi drzwiami. Wystarczy jeden złodziej i chluba zarozumiałego profesora odjeżdża z piskiem opon. <Zawsze myślałem, że włączenie autoalarmu potwierdzane jest dźwiękiem. Właśnie by uniknąć sytuacji takiej, jak tu...>

We fragmencie powyżej występują wszystkie czasy dostępne w języku polskim. Zaczyna się, konwencjonalnie, od czasu przeszłego - normalna narracja. Potem przez chwilę autor posługuje się czasem teraźniejszym, co nie jest może specjalnie uzasadnione, ale może służyć do podkreślenia aktualności opisywanej sytuacji. Niestety, Autorowi to nie wystarczyło. Zastosował czas przyszły i przestrzelił cel. Zamiast podkreślenia powtarzalności zdarzeń (było, jest i będzie), zdołał tylko po raz kolejny zamieszać w głowie czytelnikowi. Przecież bohater stoi i patrzy na ulicę "właśnie teraz". Wcześniej narrator poinformował, że bohater spojrzał na uliczkę, widzi dom naprzeciwko, widzi drzewa rzucające cień, to co powyżej to lista obiektów w zasięgu wzroku „onego”. Z wyjątkiem psów i terenówki rektora, te faktycznie są za rogiem ulicy, bohater ich nie może zobaczyć. Tylko kto mi wyjaśni, czemu czas przyszły jest użyty zarówno w stosunku do rzeczy aktualnie obserwowanych, jak i tych, które bohater dopiero zobaczy?

Nie tutaj - podsumował. <Kto? I co „nie tutaj”?> To miejsce nocami zakrawa na cmentarz. <Albo na

lunapark. Też można.> Domy przypominają rodzinne grobowce, <Chyba takie na dziesięć pokoleń wstecz.> ratusz na rynku trochę przerośniętą kaplicę, numery mieszkań epitafia, <Numery jak epitafia...

- *O tu leży nasz kochana babcia!*

- *Skąd wiesz?*

- *Na nagrobku taki sam numer, jak na drzwiach mieszkania! Babuniuuu!>*

ścieżki <W mieście?> są niczym dróżki <A domy są jak kamienice> między nagrobkami, bezpańskie zwierzęta zaś w milczeniu snują się po pachnących śmiercią uliczkach. <I jeszcze latarnie niczym znicze nagrobne... Czujecie ten mroczny klimat? Ja też nie.> To dziwne, jak bardzo odmienna może być okolica w przeciągu dwunastu godzin. <Odmienna od czego? Powinno być - *Jak bardzo może zmienić się okolica w ciągu dwunastu godzin.*> **Za dnia niczym przystojny młodzieniec, w nocy zmienia się w przerażającego wilkołaka. W słońcu przepełnione** <Wychodzi na to że ta okolica jest przepełnione. No, ale co ja tam wiem o gramatyce...> **ludźmi i ich drobnymi sprawami, przyciąga prostotą zabudowań, ale odrzuca tłumem zapatrzonych w siebie egoistów; po zmroku straszy samotnością i pustką; jednak atmosfera intymności ma w sobie potężny urok.** <Atmosfera intymności na ulicach pustego miasta... To prawie tak jak rodzinna, bliska i ciepła atmosfera na szczycie K2...>

Fragment wytłuszczony: Jak już czytelnik rozwikła gramatyczne zabawy autora, to i tak nie złapie sensu. Pierwsze zdanie buduje jednoznaczną binarną opozycję, posługując się cechą urody. Mianowicie przystojny młodzieniec vs. przerażający wilkołak. O wilkołakach wiele można powiedzieć, ale na pewno nie to, że są ładne (mówimy o kanonicznych wilkołakach), przynajmniej nie w powszechnym odczuciu. Opozycja wydaje mi się dość jasna, choć oczywiście jeżeli chodzi o urodę, to każdemu co innego wydaje się najładniejsze. Za to w kolejnym zdaniu Autor zmienił poglądy. Miasto w dzień nie jest już tak w oczywisty sposób pozytywne, ma swoje minusy. Tak samo z nocą, mimo że brzydkie (negatywne według wcześniejszej opozycji) ma pewne zalety. Czyli co właściwie chciałś powiedzieć, Autorze?

Jak wyciągnięte w geście zaproszenia ręce kostuchy; wiesz, że to prawdopodobnie ostatni uścisk, jakiego zaznasz, <Prawdopodobnie? Liczysz na zmartwychwstanie czy jak?> ale masz też świadomość, że to, co za sobą zostawiasz, wcale nie jest lepsze. <Co za wyrafinowana mądrość życiowa. Za chwilę zbiorowo sobie palniemy w łeb...> Nocne miasteczko kusi swoją tajemnicą. On <Kto?> jako jedyny ma szansę tego doświadczyć. <Tego tajemnica ma szansę doświadczyć? Chodzi o Tajemną Gramatykę? Poczekajmy, może Autor też doświadczy.> Jedyna nagroda za trudy tego posranego życia - coraz częściej zwykł sobie wmawiać. <Nie ma to jak filozofia na poziomie pierwszych klas podstawówki.>

Odkąd cierpi <Konsekwencja w czasach narracji, po co ona komu?> na bezsenność, spacerowały się jego nałogi. Wytrzymał dwa tygodnie, leżąc na plecach i gapiąc się na sufit, <A pudełeczko tabletek nasennych niewątpliwie uczyniłoby życie znośniejszym... Ale wtedy całą mroczność diabli by wzięli...> kiedy godziny wlokły się niczym lata. Któregoś dnia, wściekły na wszystko, wyszedł „tak po prostu” się przejść. Pamięta jak dziś swój „Pierwszy raz” z nocnym życiem. <Pierwszy spacer. Pierwsza niesycąca latarnia. Pierwszy woskowy zwierzak. Pierwszy raz plama w „kacie” zasłonki. A myślałem, że to ja mam nudną egzystencję... > Czuł, że patrzy nowy rodzaj piękna, uczucie to

przeszło go na wylot, wtedy w pełni zrozumiał znaczenie metafizyki. <Pojął wreszcie definicję ze słownika?> Jakby spoglądał w oczy ukochanej dziewczyny i zdawał sobie sprawę, że wszystko, czego szukał, wymarzony świat, zaklęty był w tych dwóch, uroczych zwierciadłach. <Jakie to praktyczne! Kochanie, nie mrugaj uroczymi lusterkami, chciałbym sprawdzić, czy garnitur dobrze leży...>

Jak każda tajemnica, tak samo i miasteczko miało drugą stronę medalu. <Miasteczko, jak każda tajemnica, miało drugą stronę medalu... Gdzie miasteczko ma drugą stronę medalu? Czy dotyczy to także sekretnych wiosek i tajemnych metropolii? Czy wszystkie tajemnice są dwustronne? Czy istnieją tajemnice niebędące osadami ludzkim? Czy Autor bełkocze, czy tylko mi się wydaje?> Zamiast wyleczyć go z bezsenności, całkowicie go pochłonięło. <Co go pochłonięło? Miasteczko? Wleciał do kanalizacji?> Za dnia niczym zombie, funkcjonował już chyba tylko dzięki wyrobionym nawykom. Siedział nieobecny za biurkiem, tępo patrząc w monitor. <Pracował pewnie w jakimś urzędzie państwowym...> Nawet syrena strażacka przy jego uchu nie dałaby rady wyrwać go z transu. <Jakiego transu, do zbiedniałej córy nocy??? Bohater był chronicznie niedospany, i przez to pewnie wolniejszy i słabiej kojarzący, ale co to ma wspólnego z transem? Czy autor słowa „trans” używa jako synonimu dla: „taki kompletnie niekontaktowy ktoś, którego nie da się przywrócić rzeczywistości”? Czyli na przykład „babcia weszła w trans i ją pochowaliśmy”?> Tylko monotony rytym pracy ratował mu tyłek. <Bo inaczej bym pomyślał, że „tępe wpatrywanie się w monitor” - to praca, przy której ludzie stadami schodzą na zawał ze względu na nieopanowane emocje i nadmiar adrenaliny> Od czterech lat rachunki, które wprowadzał, wyglądają tak samo. Wystarczyłaby mała zmiana w stawce <Proszę państwa! Niespodziewanie na prowadzenie wychodzi faktura za trzydzieści sztuk staniczków Victoria's Secret, wyprzedzając o krótki pysk rachunki za pręty zbrojeniowe gwintowane. Trzecia, tu bez niespodzianki, faktura za pół kilograma TNT dla pewnego pisarza...> i wyleciałby z pracy na zbity pysk. Po powrocie jadł skromny posiłek - sam nie pamiętałby jaki, gdyby go o to spytać - i rzucał się ciężko na łóżko.

Autor opisał swojego bohatera jako osobę, która jest kompletnie odpięta od rzeczywistości i weszłaby w szyb windy, bo codziennie kabina tu stała, a tu masz, dziś akurat remont. Nie wiem ile Autor ma lat, ale mam wrażenie, że nigdy nie pracował zarobkowo, ba w życiu nie opuścił mieszkania. Naprawdę wydaje Ci się, Autorze, że dni są tak podobne do siebie, że bohater by przeżył robiąc wszystko w trybie automatycznym?

Potworne zmęczenie nie pozwalało mu zaznać snu. <I postanowił nie leżeć w łóżku, tylko utrzymywać ten poziom zmęczenia ganiając nocą po mieście!> Aktualnie <Dobrze, że doprecyzowałeś Autorze, inaczej bym pomyślał, że mówimy o zeszłym wieku...> sypiał dwie i pół godziny na dobę. Kładł się o po dziesiątej, <Eee... Strasznie długo jadł, skoro po pracy od razu brał się żarcie, a po żarciu walił się prosto na wyrko.> żeby po północy bezsilnie próbować ponownie zasnąć. Wszystko zmieniło się, kiedy zaczął spacerować. Nadal nieobecny za dnia, w nocy chłoniął mroczną atmosferę pustych zaułków i ulic. Był jednocześnie wyczerpany i pełen siły <oraz smutny i wesoły w tym samym czasie. Miał też nietypową chorobę dwubiegunową - epizody depresji i manii występowały wspólnie.> Sen brutalnie dobijał się do przemęczonego ciała i mózgu, <Krzyczał, groził i kopał, a nawet próbował się pociąć... BTW, czy to znaczy, że bohater już na bezsenność nie cierpi? To po co się właściwie szlaja?> ale wrażenia, jakie serwowała mu ciemna strona miasteczka, <Ach te latarnie! I te woskowe zwierzątka! A już plama na zasłonce, to normalnie ręce latają! - facetem aż telepało od tych nocnych wrażeń> napawały go czymś w rodzaju niezdrowej energii. Nocnej siły, bo podczas dziennego słońca <Chodzi o to takie okrągłe, świecące na niebie? I to jest tylko w dzień, Autorze, tak? Jej, ja to mam braki, dobrze że doinformowałeś... Uff.> nie miał nawet świadomości własnego zachowania.

Nasz nocny wędrowniczek w dzień wchodził w tryb oszczędzania energii i nie reagował na nic. Takie prozaiczne rzeczy jak zakupy, sprzątanie, pranie czy mycie go nie dotyczyły. Lodówka stała pusta i skarpetki też stały - dawno nie widziały wody. Bohater jadł tylko to, co samo mu do ust wlało. Tylko te chitynowe pancerze strasznie w zębach musiały zostawać.

Ulice były puste, czasami tylko małe papierki przemierzały asfalt wzdłuż i wszerz, niesione przez nocny wiatr. <Inne śmieci musiały samodzielnie się przemieszczać. Swołocz jedna.> Szedł ociężałym krokiem, buty głośno i przeciągle szurały po zimnym asfalcie. <Ja pitole. Zombie!>

Chodź do mnie...

Stanął jak wryty. Nerwowo obejrzał się wokół siebie <oraz nonszalancko rozejrzał się za siebie>. Nie zauważył nic <niczego> nowego w krajobrazie miasta. Ale przecież doskonale słyszał ten głos, łagodny, ciepły, hipnotyzujący, ale przede wszystkim znajomy. O tak, znajomy. Nigdy więcej nie chciał go słyszeć, był zbyt bolesny w swojej słodkości <oraz zbyt gorzki w swym wyrafinowaniu, a czasami nawet zbyt arogancki w swej uległości>.

Chodź do mnie ...

Żałował, że wspomnienia nie są jak pliki w komputerze; nie można ich usunąć, gdy szkodzą lub zmienić, gdy coś w nich nie odpowiada. Jego wspomnienia były niczym potężne kleszcze spinające <Kleszcze spinają... A kombajnem świetnie się lewatywę robi...> mózg w chłodnym, metalicznym uścisku. Odbierały radość życia, motywację do działania, chęć do podjęcia nowego ryzyka. <Zasadniczo bohater już jest zombie. Jego życie to wyłącznie nocne spacerki po mieście. Wmawiasz mi, Autorze, że można być jeszcze bardziej otępiałym i bezużytecznym?> Umysłowa migrena była jak mucha wracająca wciąż w to samo miejsce.

Migrena (umysłowa) jak mucha...

Za Wikipedią:

Migrena – powtarzający się, najczęściej jednostronny, pulsujący [ból głowy](#). Migrena trwa zazwyczaj od 4 do 72 godzin. Charakteryzuje się różnym stopniem nasilenia i częstotliwością występowania. Bóle nasilają się pod wpływem emocji lub wysiłku fizycznego. Występuje światłowstręt (fotofobia), nadmierna wrażliwość na dźwięki (fonofobia) i zapachy (osmofobia), występują też nudności i wymioty.

Mam coraz silniejsze przekonanie, że Autor faktycznie, nigdy z mieszkania nie wyszedł, a żadna ze znanych mu kobiet w życiu nie cierpiała na migrenę. Inaczej zauważyłby, że porównanie migreny do muchy ma tyle samo sensu, co nazywanie Stalina miłym, starszym panem z drobnymi dziwactwami.

Aha, nie wiem co znaczy umysłowa migrena... Bardzo bolesne natręctwo myślowe?

Chodź do mnie ...

Głos był gdzieś blisko. Niemal czuł, jak powiew ciepłego powietrza muska jego ucho w znajomym wołaniu <Powietrze go wołało? W sumie to odmiana wśród rutyny nocnych wędrówek. Jakaś>. Bał się odwrócić. Bał się, że spojrzy za siebie i nie zobaczy tam nic poza pustym chodnikiem. Powtarzał sobie, że już więcej nie da się ponieść melancholii, jednak kusząca, kobieca melodia <Melancholia kobiecą melodią. Kusząca. *Weź mnie w ramiona i chodź! Ty będziesz przygnębiony wspominając, a ja naga będę kusząco śpiewała.*> otaczała go jak anakonda skazaną na śmierć ofiarę. <*Wizualizuje sobie anakondę, która miota się próbując otoczyć ofiarę. Ofiara w końcu pada trupem, dusząc się ze śmiechu*> I dusiła, dusiła siłą wspomnień, goryczy i złości. <To złe powietrze było...> Powoli tracił kontakt ze światem, mgiełka zasnuwała wzrok <Chyba wzroczek - jak infantylizować, to do końca> , siły opuszczały ciało, kolana ugięły się pod naporem tej tajemniczej mocy. <Melancholia albo przeszła na dietę ciastkową, albo cherlaka do noszenia sobie wybrała... >

Chodź do mnie ...

Chodź do mnie ...

Chodź do mnie ...

Oszołomiony osunął się na ziemię. <W skrócie: Facet zemdlął, bo jakaś niewidzialna panienka go wołała. Mimoza jeden.>

Za nami scenka numer jeden. Będą jeszcze trzy takie. Nie, nie myślcie sobie, że cokolwiek zostanie dalej wyjaśnione. Po co bohater się szlajał po nocy, o co chodzi z tą dwustronną tajemnicą miasteczka, kim jest bohater, kto go wołał itd... Akcja przeskakuje do dziwnego szpitala, gdzie rozhisteryzowana lekarka leczy nie wiadomo kogo i nie wiadomo z czego - hipnozą...

- Wszystko w porządku? - Czuje oczy obserwowały zdezorientowanego pacjenta. - Dobrze się czujesz?

Młody mężczyzna właśnie wstawał z kozetki. Białe ściany małego pokoju zazdrośnie konkurowały z bladą cerą wystraszonego człowieka. <Zapamiętałe posypywały się gipsem, malowały, a jedna brawurowo zrobiła sobie nowy tynk!> Przygarbiony, ciężko dysząc, <Po hipnoterapii? Czym ta lekarka go hipnotyzowała?> wbijał wzrok w wytarte linoleum. Mały, czarny pajak sunął <na łyżwach> po podłodze, znacząc szlak na szpitalnych laczkach. <Małe, owadzie głów... kupki na laczkach - czyli defekujący pajak w jeździe figurowej na obuwiu. Dalej będzie jeszcze dziwniej.>

- Wołała mnie. Ona. Była blisko. <Można się zastanawiać, czy gość z kozetki jest tym samym co wędrujące zombie z poprzedniej scenki, ale nie ma po co. Można przyjąć, że tak (i zastanawiać się, skąd ma amnezję, i jak trafił do szpitala)... Można przyjąć, że nie. Na zrozumiałość tekstu wpływu

żadnego to nie ma...>

- Kto? - rozmówczyni była wyraźnie zbита z tropu. - Podczas transu <Trans a hipnoza to niezupełnie to samo...> nic o tym nie wspomniałeś.

- O czym? - dopiero teraz podniósł głowę i spojrzał w oczy pani doktor.

- O KIM - poprawiła go terapeutka. - Właśnie mówiłeś o jakiejś kobiecie, która Cię <I pamiętaj! Zaimki osobowe wymawiaj od wielkiej litery! - dodała> wołała. Kim ona była?

- Tak powiedziałem? <To się nazywa galopująca amnezja, nie?>

Pytająco zmarszczył brwi. Nie miał pojęcia, gdzie jest, co tu robi i dlaczego ma na sobie białe fartuch. <To nie fartuch, to kaftan...>

Kobieta z rezygnacją zwiesiła głowę. O ile akta pozostałych pacjentów opowiadały jej najróżniejsze historie, tak teczka mężczyzny świeciła pustkami. <Nie było ani daty przyjęcia do szpitala, ani opisu objawów, ani wstępnego rozpoznania choroby, ani zaordynowanej terapii, ani zapisu kolejnych sesji hipnozy. No, w ogóle niczego nie było...!> Hipnoterapia trwała już ponad miesiąc. <Skoro pacjent jest w szpitalu psychiatrycznym, to znaczy, że mamy do czynienia z chorobą poważną, w której pacjent zagraża sobie i/lub innym... I jedyna terapia to hipnoterapia? Coś tu, tego, nie gra...> Po każdym seansie budził się wyczerpany, nie pamiętając skąd w ogóle się tam wziął. <Z wysiłku mu pamięć kasowało? Pani doktor, no nie można tak wykorzystywać pacjenta...> Obróciła głowę w kierunku otwartych drzwi, gdzie ordynator szpitala <To był bardzo mały i nietypowy szpital. Brak dyrektora, tylko ordynator (za to całego szpitala!), lekarka i pan Ziutek od przynieś, wynieś, pozamiataj... Swoją drogą, Autorze, czy słowa *kwerenda* albo *research* coś Ci mówią?> czekał na znak. Smutne oczy kobiety wystarczająco przekazały wiadomość <Wystarczająco przekazały: "Za cholerę nie wiemy, jak z tobą rozmawiać! Nas zmuszono do występów w tym opku!">. Doktor westchnął, dokumentacja czekająca na podpis po raz kolejny wylądowała zgnieciona w koszu. <Ordynator z papierami czeka posłusznie w drzwiach, a później jeszcze kible umyje i świetlówki na korytarzach wymieni, bo pan Ziutek akurat na urlopie.> Terapeutka podniosła się z krzesła i podeszła do drzwi.

- Jest podobna do Ciebie <ciebie> - nagle wyrzucił z siebie pacjent. <I przebił ścianę na wylot!>

Obróciła się na pięcie zaskoczona. <Bo oczekiwała, że będzie milczał? Miał także oniemieć z wysiłku?> Nadal siedział na kozetce, jednak teraz wpatrywał się w nią płonącymi oczyma. Po zdezorientowanym mężczyźnie nie było śladu. Wyprostowany, czujny, jakby wyższy <Wyprzystojniał i przybrał na muskulaturze takż>.

- Naprawdę? Jakie podobieństwa Pan <A czemu tak nagle przeszła na "pan"? Aż tak się radykalnie zmienił? Jessu, ja tylko żartowałem!> w nas dostrzega?

- Przecież jesteśmy po imieniu, nie pamiętasz?

Wolnymi, malutkimi krokami zbliżała się do mężczyzny. Bała się? Nie. Była przerażona. <Mężczyzna się na mnie gapi! To się nigdy wcześniej nie zdarzyło! Szatan weń wstąpił!!!>

- Wybacz, zapomniałam. Powiesz mi, w czym jesteśmy podobne? <Nie: "O kim mówisz?" tylko "W czym jesteśmy podobne?" to tak jak: "Obrabowali nas!!!" - "A jak byli ubrani?">

- We wszystkim. W spojrzeniu, oczach, włosach, figurze, głosie, sposobie poruszania się... Mam wymieniać dalej?

- Nie, już nie. Skoro jesteśmy takie podobne, to może ja jestem tą kobietą? <Pierwsze skojarzenie, nieprawdaż?>

- Na pewno nie. – Permanentne, chwilami wręcz nachalne spojrzenie mężczyzny stawało się nie do zniesienia. <Patrzy na nią, jak do niej mówi! Degenerat jeden...>

- Skąd to wiesz?

- Bo Ty nadal ze mną rozmawiasz <Logiczne te riposty, nie?> – odparł i zaśmiał się sarkastycznie. – Idź już, bo patrzenie na Ciebie <ciebie> sprawia mi ból. <Przystojny, świetnie zbudowany. I do tego jeszcze jaki wrażliwy.>

Za nami dialog i całe szczęście, że Autor woli opisy.

Kobietę oblał zimny pot. <Patrzy na mnie i patrzy!!!> Jej pracą jest leczenie szaleńców, <Akurat. Przy prawdziwym szaleńcu uciekłyby z wrzaskiem. Chyba że, to na tym polega. Przyprawiają wariata. Wariat patrzy. Lekarka wrzeszcząc wypada z gabinetu. Wariat z szoku normalnieje.> ale ten pacjent rozsiewał wokół siebie zaraźliwą aurę obłędu. <Przestał się garbić, patrzył na nią i mówił zdecydowanym głosem. Obłęd jak nic...> Nawet najbardziej światły umysł w tym towarzystwie osiadałby w dwie godziny. <Dobrze, że ona mało światła jest. Siwienie umysłu jej nie grozi...> W panice nie zdawała sobie sprawy z faktu, że powoli cofa się przed miażdżącym spojrzeniem, <Mówiłem? Szatan!> dopóki nie wpadła na stojącego w drzwiach ordynatora i krzyknęła.

- Co się stało, pani doktor!? <Sama siebie zapytała: "co się stało?" Kto tu ma obłęd?>

Szef objął spanikowaną terapeutkę. <No jus, jus. Bzidki pańcio nie będzie się więcej na dziewczynkę pacył. Jus, no, jus. Masz tu misia.> Otrząsnęła się szybko i spojrzała na kozetkę. Pacjent na powrót siedział przygarbiony z nienaturalnie zwieszoną głową, <Badał sobie zawartość pępka...> pogrążony w świecie beznadziei.

- Przepraszam, ordynatorze – zaczęła uspokajać. – Wyłączyłam się. <U mnie to skutkuje atakami paniki!> Stresujący dzień... <Ludzie na mnie zewsząd patrzyli!!!>

- Wyglądałaś, jakbyś zobaczyła ducha <I on też by na mnie patrzył?!> – mimo zapewnień nie był do końca przekonany, że pani doktor już doszła do siebie. Patrzył podejrzanie <podejrzliwie> na karykaturę człowieka <Miał gigantyczną głowę, wąziutkie barki i nienaturalnie długie ręce, które mu się plątały między nogami? Taka karykatura?> siedzącą na kozetce. – Lepiej z nim?

- Niestety nie. Dzisiaj zdradził małe oznaki powrotu pamięci, <Małe oznaki... To był korespondencyjny kurs medycyny, prawda, "pani doktor"?> ale to nadal kropla w morzu.

- Spróbuję z nim porozmawiać. A Ty idź i odpocznij. Ostatnio za dużo na siebie bierzesz. Wracaj do domu i zaczerpnij trochę świeżego powietrza. <Bo ona mieszka w parku. W kartonie. Lubi być zjednoczona z naturą.>

- Może to i dobry pomysł.

Minęła ordynatora i ruszyła do korytarza. <Ordynator stał w drzwiach. Czyli minęła go i przemierzając metry nicości ruszyła do korytarza. Kto projektował to cudo? BG Jonson?>

- A tak poza tematem; Bardzo ładna fryzura – zauważył mężczyzna.

- Byłam u fryzjera ponad tydzień temu - spojrzała zdziwiona.

- Widocznie musiałem Cię <cię> do tej pory nie widzieć – przyznał trochę rozkojarzony. – Nie zmienia to faktu, że ładnie Ci <ci> w niej. Do zobaczenia! <Gdyby tego dialogu powyżej nie było, fabuła jak nic rozpadłaby się jak domek z kart...>

Kobieta przeszła korytarzem do szatni. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Łydki bolały od ciągłego chodzenia po oddziale. Zdjęła biały fartuch <Biały Fartuch! Po prostu powalające Kapitanie Oczywiście...> i ziewając podeszła do umywalki. <Umywalka? W szatni? Łazienek tam nie znają?> Odkręciła kurek, chłodna woda zalała ręce, po czym chlusnęła na delikatną twarz. <Zrywając ową twarz z czaszki ze szczętem, bo ona taka delikatna była... “Pani doktor” zawsze się tak myje podkładając ręce pod kran i robiąc fontannę? Znaczący, kąpie swą delikatną twarz, resztę delikatnej siebie w ubraniu, kolegów/koleżanki z pracy i całą szatnię? Ale co się dziwić, bezdomna nie nawykła do kranów...> Po omacku, na pamięć sięgnęła po ręcznik, wyprostowała się przed lustrem i z przerażenia wrzasnęła.

Z tafli szkła patrzyła na nią obca twarz. Zaczesane zwyczajnie, ale z ogromnym urokiem blond włosy, wyraziste, niebieskie oczy, śliczna twarz o przyjemnie zarysowanych kościach policzkowych i wąskie usta.

Spanikowana przewróciła się na zimną podłogę <Jak dramatycznie...>, po czym bezradnie na niej usiadła.

Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Była w innym ciele. Idealnych kształtów figura, zgrabne nogi, kształtne łydki, proporcjonalne i drobne dłonie, pod bluzką niewielkie, ale pociągające piersi. Po chudej, zwyczajnej brunetce zostało tylko wspomnienie. Czuła, jak odpływa, jak świat, który ją otacza, rozmywa się niczym fatamorgana. Oparła plecy o ścianę, po czym straciła przytomność. <Też tak byście mieli? Idźcie do łazienki, chłapięcie wodą na swe delikatne twarze. Patrzycie w lustro. I siurpryza! Ktoś wam podmienił buźkę. Panikujecie, wrzeszczycie z przerażenia (jak Autor napisał), a jednocześnie pierwsze, co wam się rzuca w oczy, to fryzura zaczesana z ogromnym urokiem (cokolwiek może to znaczyć), przyjemne kości policzkowe i wyraziste oczy. To wszystko w momencie kiedy miotacie się przed lustrem, krzyczycie i zastanawiacie się czy nie zwariowaliście. Spanikowani padacie na podłogę i zauważacie, że i ciało wam się zmieniło. Doceniacie waszą idealną figurę, proporcjonalne dłonie, kształtne łydki i pociągające cycki. To wszystko widzicie przez ubranie i kiedy jesteście bliscy utraty zmysłów ze strachu. Potem mdlejecie - zajębistość przemiany was zalewa.>

Za nami scenka numer dwa. Prawda, że fabuła jest krystalicznie przejrzysta, dialogi zrozumiałe i w pełni potrzebne, zaś postacie, ich sposób zachowania i rola są w stu procentach zrozumiałe? Wszystko układa się zgodnie z planem i doskonale, jak na dłoni, widać zamiary autorskie...

Jak przez mgłę słyszała <Ona oczami słyszała. Taka dziwna była...> szcęk zamka i trzask zamykanych drzwi. W stanie półświadomości próbowała bez rezultatu podnieść się z podłogi.

- Cześć, już jestem. Gdzie się schowałeś?

Weź się w garść i podnieś dupę! – rozkazała, ale ciało wyjątkowo zawzięcie odmawiało posłuszeństwa. <Na znak protestu przywiązało się do lodówki...>

- Gdzie jest... Co Ci <ci> się stało!? – wrzasnął mężczyzna i padł <jak długi> na ziemię <Dom dopiero wykańczali i jeszcze podłóg nie położyli...> obok leżącej kobiety. <I tak sobie leżeli razem na klepisku. Ważnym jest, by od razu okazać empatię ofierze.>

Kuchnię wypełniał zapach świeżo przygotowywanego posiłku. Jego ulubionego posiłku. Teraz jednak bardziej absorbowało go przywracanie przytomności jego <Dobrze, że nie cudzej, nie?> dziewczyny. <**dziewczynie**, Autorze. Celownik, nie dopełniać.> <Pacze, jaki bohater! Schaboszczak z ziemniaczkami na stole, a on nic, tylko jakieś akcje ratownicze skutecznia. Dziwak.> Leżała na ziemi <Powtarzasz się, Autorze> , ledwo oparta o kupioną tydzień wcześniej szafkę. <Bo szafka zajmowana babci czyniłaby kolosalną różnicę!> Ubrania były wilgotne, <Ona miała na sobie pięć kompletów, czy chodzi również o ubranie jej chłopaka?> ciało rozpalone, <Teraz to nawet nie wiem, czyje...> z trudem rozpoznawała własnego chłopaka.

- To Ty <ty> , prawda? – pytała raz za razem, jakby upewnianie się coraz bardziej przytwierdzało ją do świata, z którego w jakiś sposób odchodziła. <Drażyła tunel podprzestrzenny. W taki sposób odchodziła.>

- Tak, skarbie, to ja <O, zaimek osobowy pisany małą literą! Autor, ręka Ci się omsknęła?> – mężczyzna delikatnie położył ją na dużym stole <Mały stół odkopnął ze wzdrganiem> i zaczął przyglądać się obrażeniom. <Obrażeniom?! Jakim?! Skąd?! Eksplozowała zmywarka? Lodówka na nią spadła?> – Nic nie mów, zaraz pojedziemy do szpitala, tam się Tobą <Robi się nudno. Autorze, zapamiętaj, że zaimki osobowe piszemy od wielkiej litery jako wyraz szacunku tylko wtedy jeżeli zwracamy się bezpośrednio do osoby zainteresowanej. Czyli kiedy piszemy list, e-mail lub kiedy gadamy przez gtalk czy inny Skype. Dialogi w literaturze nie podlegają tej regule – czyli piszemy małą.> zajmą.

- Miałam dziwny sen – majaki kobiety mroziły mu krew w żyłach. <Ta. Majaki. To, że z brzucha wystawały jej takie metalowe elementy, nie wydawało się w końcu takie ważne...> – Wołałam Cię , wiesz? Wołałam... Naprawdę... Ale Ty nic nie słyszałeś, z... zupełnie, jakbym była duchem. Tylko rozglądałeś się wokół siebie...

- Cii, wszystko dobrze, teraz już jestem przy Tobie – telefon po raz kolejny nie mógł znaleźć zasięgu. <Już trzeci raz w tym tygodniu mu się zdarzyło! Wściekał się i machał... antenką. Obawiał się, że konieczna będzie konsultacja... specjalisty.> – Niech to szlag! Zabieram Cię do szpitala. Obiecuj, że za żadne skarby nie zaśniesz, dobrze? Dobrze!?

< - Doskonale! Jak dobrze, że zainwestowałam w ten smartfon!>

- W porządku... Naprawdę Cię wołałam, wiesz? <Telefony pociągały mnie od maleńkości! Ale jak wprowadzili wibrę...!!!>

Trzymając w ramionach kobietę, mijał pomieszczenia świeżo urządzonego mieszkania. <Pierwszy salon, drugi salon, trzeci, sypialnia, garderoba, wychodek, dzień dobry pani Stefo, kuchnia, basen, siłownia, planetarium... Gdzie, do cholery, ten garaż?!>

Chrysler mknął ulicą z głośnym warkotem pracującego mocno silnika. <Nie wiem co gorsze: łopatologia czy nadopisy...> Zapadł zmrok, lekka mgła przysłoniła nieznacznie widoczność. <Tu kłaczek, tam kłaczek...> Samochód z niebezpieczną prędkością pokonywał kolejne kilometry, w

środku zaś mężczyzna pełen niepokoju o życie swej kobiety, zmuszał silnik maszyny do katorzniczej pracy. <Tak, wiem - silnik ryczał na pełnych obrotach. Możesz już przestać się powtarzać.> Gorączka rosła z każdą minutą, <Czy to silnik się grzał, czy też panienka przetapiała się przez nadwozie? Wot, zagwozodka...> czas bezlitośnie wysysał z niej siły vitalne. <Tak jak patos resztki sensu z tego tekstu.>

Po dziesięciu minutach samochód wjechał na ulice małego miasteczka. Wszechobecny spokój brutalnie zakłócały obroty ryczącego samochodu. <Wirował w pionie, poziomie oraz robił salta. I ryczał sobie do rytmu.> Okolice przypominała cmentarne czeluście. <Wspominałeś, Autorze. Choć "czeluście" to pewna nowość...> Martwa cisza przyprawiała o gęsią skórę, wyludnione ulice budziły grozę. <Już raz o tym było. I wtedy też nie zadziało>

Mężczyzna przemierzał kolejne zakręty z wprawą kierowcy rajdowego. Znał okolicę jak własną kieszeń, jednak coś zaczynało iść nie po jego myśli. Według jego szacunków już dawno powinien był opuścić małe miasteczko <Według Autora istnieją też „gigantyczne miasteczka” skoro musiał doinformować, że „małe”. Z niecierpliwością oczekuję też na „tycią aglomerację”.> i być już w <"i przybyć do szpitala" - jeżeli już> szpitalu. Po raz trzeci przejeżdżał przez to samo skrzyżowanie. <Mistrz świata w kojarzeniu faktów...> Mgła gęstniała, on tymczasem krążył po omacku, kręcąc się w kółko. <krążył, kręcąc się? - czyli robił kółka wirując. Właściciel upodobił się do samochodu i też został helikopterem.> Znowu mijał uliczkę, na której stały zaparkowane trzy samochody, po raz kolejny mijał spacerującego ze spuszczoną głową młodego człowieka. Gdy przejeżdżał koło niego po raz piąty, <Już po drugim razie powinien się zastanowić, co się dzieje, a nie kręcić się, jakby mu pochodnię do gaci wsadzili.> ten gwałtownie podniósł głowę i zaczął się rozglądać wokół siebie. Jakby usłyszał wołanie, którego wyczekiwał od bardzo dawna. <To ta, co oberwała zmywarką, go woła...! Tylko co z tego wynika?>

Pozbywszy się wszelkich nadziei na dotarcie do celu, mężczyzna skręcił w nieznaną sobie drogę. <Czyli do szpitala nie dojedziemy, więc jedźmy dokądkolwiek. Fantastyczny plan!> Kawałek dalej, z mgły wyłonił się szpital, nie ten, do którego chciał się udać, ale to <Czyli co?> musiało mu wystarczyć.

Z piskiem opon zatrzymał się przed wejściem. Wysiadł i okrążył samochód. Kobieta na siedzeniu pasażera nie odezwała się od kilku minut. <Bo się wytopiła już na poprzednim skrzyżowaniu. Wracaj, facet, i szukaj dziury w asfalcie..>

- Skarbie, mów do mnie! - powtarzał, cucąc gładkie policzki. <Policzki poczuły się ocuczone i ukomplementowane. W przeciwieństwie do reszty twarzy.>

- T... To Ty? - powtarzanie wciąż tego samego pytania napawało go nieopisaną grozą. <Tja... Dziewczyna ma gorączkę, obrażenia i traci przytomność. Ale jego najbardziej interesuje to, że powtarza ciągle jedno pytanie. Pewnie ma ksywę „Troska”.>

- To ja. Jesteśmy na miejscu. Zaraz lekarze się Tobą zajmą. Tylko nie mdlej, błagam! <Pomyśl, gościu, jak zemdleje, to przestanie powtarzać to pytanie. Od razu poczujesz się lepiej.>

Z wybranką na rękach <Wybrał ją do zawodów w noszeniu...?> wbiegł do środka. Wnętrze - jak w każdym szpitalu - było czyste i zadbane. I niestety - jak wszędzie - zatłoczone. <W nocy wszelkie szpitale przypominają Nowy Jork w godzinach szczytu - ogólnie znany fakt. BTW, litościwie przyjmę, że facet wbiegł tam, gdzie wbiec powinien, czyli do izby przyjęć.>

Poczekalnię wypełniał geriatryczny tłum. <Był już tłumem bardzo długo. Łupało go w prawej flance, a front niepokojąco obwisł.> Starcze twarze o przerażająco ostrych rysach patrzyły na młodego

mężczyznę i kobietę <młoda?> , zapadła paraliżująca cisza, przerywana pracą zdezelowanego wiatraka. Ani śladu lekarza. <Bo pod drzwiami powinien warować!>

- Potrzebuję pomocy! - zawołał. - Czy jest tu lekarz!? Ta dziewczyna straciła przytomność i jest strasznie osłabiona! <I ma obrażenia!>

Nie zdążył skończyć, kiedy z drzwi po jego lewej stronie wyszła grupa ludzi z noszami, prowadzona przez młodego lekarza.

- Proszę ją tu położyć - nakazał stanowczo, po czym zaczął szybkie oględziny. <Obrzucił ją nonszalanckim spojrzeniem.> - Ciężko z nią, musimy się śpieszyć. <Diagnosta lepszy od House'a!> Na blok, migiem! <*Będziem kroić w ciemno! Ale będzie zabawa!* - dodał na boku.> Pan niech tu poczeka. <Na izbie przyjęć??>

- Idę z panem, nie mogę jej zost...

- Powiedziałem, proszę zostać! - wątpiąca sylwetka lekarza kryła w sobie dużą siłę. <Tak. Trzymała ją w butach...> Małe pchnięcie <Miało maks pół metra wzrostu!> w ramię mało nie powaliło go <Czyli kogo? Tego lekarza? Sam się walnął? Jakiś psychiczny, nie?> na ziemię. <Klepisko nową podłogą!> - Zaraz ktoś po pana przyjdzie.

Odwrócił się i dołączył do grupy reanimacyjnej. <Że ke? Będą ją reanimować dopiero na bloku??> Przystępując <Wielkim krokiem.> automatyczne drzwi po raz ostatni spojrział na zdesperowanego mężczyznę. Oczy doktora zaszyły zielenią, źrenice całkowicie zniknęły, spomiędzy warg zaszeleścił gadzi język. <Tak znienacka pan doktor okazał się wielką jaszczurką. To by tłumaczyło entuzjazm w krojeniu pacjentki i brak zainteresowania okolicznościami powstania obrażeń czy przeprowadzeniem wywiadu rodzinnego, także lekceważenie podstawowych badań przedoperacyjnych, jak choćby próba krzyżowa. Choć nie rozumiem, po co było udawać lekarza, skoro robiło się to tak nieudolnie...>

Nie, to też nie ma sensu...>

- Neeeeee!!! Nie zabierzecie mi jej!!! - wrzasnął stojący w wejściu chłopak i ruszył niczym w opętańczym szale. <To znaczy jak? Toczył pianę z pyska i ryczał? Podarł na sobie ubranie? Rzucił staruszkami po poczekalni?>

Był już praktycznie przy noszach <No tak, w sumie blisko, ale nie do końca, no tak z pół metra. Może metr. Coś w ten deseń.> , kiedy nagle padł boleśnie na przybrudzoną lekko podłogę. <Zaliczył glebę... eee, linoleum?... bez powodu. Ot tak, dla jaj. Zauważmy też, że dostarczyli podłogi. Tylko brudne takie...> Głuchy odgłos uderzenia <upadku> poniósł się przez wyciszoną poczekalnię. <I niósł się dalej, odbijając się od potężnych ścian, przez hektary przestrzeni wypełnione geriatrycznym tłumem. Facet pół tony ważył najmarniej.> Staruszkowie podnieśli się z miejsc i okrążyli go. <Ten odgłos otoczyli? No, no...> Nosze z dziewczyną i potworem zniknęły w czarnym <I mrocznym! I strasznym!> korytarzu. Upiorne twarze osaczyły go <ten korytarz> ze wszystkich stron. Salę wypełnił krzyk bólu i rozpacz. <Korytarz krzyczał - nie znosił staruszków aż po surową cegłę. Zawsze marzył o karierze sauny w elitarnym liceum w Szwajcarii.> Każde kolejne ugryzienie bolało coraz mniej, coraz bardziej jednak zatracił się w nicości. <Ugryzienia zatracające w nicości - coś bym tu napisał, ale kompletnie nie wiem co...>

Światło leniwie próbowało przedostać się przez przymknięte powieki. <Te 300 tysięcy km/s to zwyczajny lans. A tak spacerkiem i pozwiedzać można...> Wiedziała, że najwyższy czas podnieść się z łóżka. Należała się za wszystkie czasy. Szczęście, że nie nabawiła się odleżyn. <Bo to już

trzydziesty miesiąc leżenia. Słonie są krócej w ciąży. Czas wstawać, ech... Tak, to był Autorski Element Komiczny. Ha. Ha.> Do działania zmotywował ją gwizdek czajnika, który był <Uaaa! Uaaa! Uaaa! Czasem też czekał, jak my się nudziło.> już od pół minuty. Spróbowała się podnieść, lecz silny ból przeszył jej ciało od pasa w dół. <Hm... Zapomniałaś, że jesteś chora/połamana/sparaliżowana/w gipsie/przygnieciona meblościanką??? Chyba że masz też alzheimera do kompletu.> Jęknęła i opadła ciężko na grubą poduszkę. Wtem usłyszała <A dowiemy się kim jest „ona”? Gatunek chociaż...> kroki w kuchni. Znajome. Tak, to jej siostra właśnie odstawiła czajnik i przygotowywała herbatę. <Po krokach łatwo poznać. Najlepsi nawet gatunek herbaty rozpoznają.> Weszła do pokoju z tacą zastawioną śniadaniem, znana aktorka czytała w radiu kolejny rozdział jakiegoś bestsellera. <Podręcznik dla młodych pisarzy. Szkoda, że Autor nie kupił egzemplarza...>

- Cześć. Jak się dzisiaj czujemy? - krzyknęła <aż mury zadrżały> radośnie.

- Hej. Nadal nie mogę się ruszyć. - odparowała, <i splunęła w jej kierunku> po czym spojrzała na puste krzesło obok łóżka.

- Już wyszedł - od razu sprostowała siostra <Siostra często prostowała opinie, których nikt nie wypowiadał. Hobby takie.> - godzinę temu. Zostawił Ci tą <tę> książkę, o której wspominałaś.

Wskazała palcem na szafkę nocną przy posłaniu <Biedna rodzina to była, i wszystkie meble poszły na opał> , na której leżał nowy egzemplarz jej <tej szafki...?> ulubionej książki. <Ulubiona książka. Szafka czytała ją od deski do deski i do upadu. Jak się całkiem książka zeszmaciła, to kupowała nową i powtarzała procedurę. Co to za zajmujące porno musi być...>

- Sam zaczął trochę czytać, ale nie zdążył zbyt dużo rozpracować <Rozpracować? Co to jest za dzieło? „Zarysy topologii dwu lub więcej ciał połączonych w sześciowymiarowej przestrzeni nieeuklidesowej”?> - ciągnęła dalej, patrząc na wetkniętą gdzieś na początku zakładkę.

- Zawsze tak robi - podsumowała rozmarzona. <Kto? Ale w sumie, po co ja pytam...> - Jeśli przez pierwsze dwadzieścia stron książka go nie zainteresuje, przestaje ją czytać. Odkąd pamiętam postępuje tak z każdym tytułem.

Wzięła książkę do ręki. Otworzyła właśnie zaznaczoną zakładką stronę, kiedy radio złowrogo zatrzeszczało <Trzasku! Mhrroku! Trzasku!> sygnałem wiadomości.

„Podajemy najnowszy komunikat! Dziś rano młody mężczyzna został śmiertelnie raniony nożem <Zamiast suchego: „zabity podczas napadu rabunkowego”. Dziennikarz był w wolnym czasie poetą.> przez dwóch złodziei. <Break news! Morderstwo w mieście! Cóż, to było małe i lokalne radio...> Miał 25 <dwadzieścia pięć> lat, był prezesem znanej - i jedynej - w mieście firmy wydawniczej. <wydawnictwa - tak po prostu, Autorze> Zginął na miejscu. <No co ty nie powiesz, narratorze.> Policja ujęła sprawców, przyznali się do winy. Grozi im kara do 30 <trzydziestu - liczby w literaturze zapisujemy słownie. Przynajmniej te jedno i dwucyfrowe.> lat więzienia”

<Pełna profeska, ten komunikat. Podali wiek i zawód (kluczowe dane nieprawdaż?). Za to nie wspomnieli ani o personaliach (lubią, jak słuchacze grzebią w necie w poszukiwaniu nazwiska prezesa wydawnictwa - tak więcej inteligentnie jest), ani o miejscu i czasie zdarzenia.>

Pachnący jeszcze klejem egzemplarz książki upadł cicho na podłogę <Z posłania nie miał daleko...> , kobieta <Autor skonkretyzował podmiot domyślny! Nie za szybko aby? Dopiero niecała stroniczka minęła od początku scenki. Zatchniemy się od tego tempa.> na łóżku <Na posłaniu, narratorze! Na

posłaniu!> zaniósł się płaczem. Z zaznaczonej zakładką, poplamionej krwią strony <Ten facet, co to czytał wcześniej, pociął się z wrażenia, jak zobaczył z czym mu się przyjdzie mierzyć?> , w oczy rzucał się <Komu?> podkreślony cytat:

„Pamięć to raj, z którego nikt nie może nas wygnać, lub piekło, z którego nie możemy uciec...”

W radiu zaś - niezrażona lamentami dwóch kobiet - znana aktorka kontynuowała recytację <Recytowała. Jak wiersz. Trzynastozgłoskowiec albo pentametr jambiczny.> bestsellera:

- *„Najgorsze w piekle to nie palący ogień, wieczność męczarni, utrata łaski bożej czy poddanie szatańskim torturom*

Najgorsze w piekle jest to, że nie wiesz, czy już się w nim nie znajdujesz...” * <Autorze, wstawianie cytatów z innych powieści, BEZ przypisu skąd - to kradzież.>

* - Jose Carlos Somoza “Klara i półmrok”

To bardzo zły tekst. Jeden z najgorszych, jakie widziałem. To, co powyżej, to zapis bitwy pomiędzy językiem a autorem. Nie powinno się dopuszczać do walk przeciwników z tak różnych kategorii wagowych. Autor ponosi klęskę za klęską, w opisach, kiedy nieskutecznie próbuje przekonać czytelnika, że miasto to cmentarz, kiedy zarzuca go niepotrzebnymi szczegółami (“lekko przybrudzone podłogi”, “gładkie policzki” czy opis kobiety po przemianie), oraz kiedy brawurowo traci podmioty. Do tego dochodzi nieznamość znaczeń słów, niezamierzona śmieszność w przekazywanej informacji “samochód ryczał obrotami” czy “geriatryczny tłum” oraz niezdarne próby poetyzowania “latarnie pozostawiające uczucie niedosytu” lub “ugryzienia zatracające w nicości”.

Takie stężenie błędów w warstwie językowej każe z niepokojem myśleć o strukturze dzieła, czyli spójnej fabule, myśli przewodniej tekstu i logicznym domknięciu wszystkich wątków. Nie bez kozery - wymienionych elementów w tekście po prostu nie ma. Nie mam pojęcia, o co może chodzić autorowi. Scenki są połączone dość mechanicznie, ktoś mdleje i budzi się w następnej scenie jako ktoś inny. To jedyna w miarę jasna przesłanka, choć i ona chwieje się na granicy nadinterpretacji. Scenki, poza tym, są kompletnie niezrozumiałe, czytelnik gubi się w domysłach, kto jest kim, czy młodzi mężczyźni występujący w każdej scenie są tym samym mężczyzną (kto w takim razie mija/jest mijany samochodem w scenie trzeciej)? Czy tak samo jest z kobietami? Czego właściwie dotyczą scenki? Kto jest bohaterem/bohaterami w tym tekście (bohaterką scenki drugiej jest hipnoterapeutka)? I tak dalej... Gdyby Autor choć rzucił imieniem, czy jakimkolwiek innym konkretem, to czytelnik niewątpliwie byłby bliżej powiązania ze sobą owych scenek. Niestety, utwór zaludniają tajemniczy „oni”, konkretyzujący się tylko do młodych mężczyzn i kobiet, biorących udział w jakichś kompletnie niezrozumiałych wydarzeniach. Dokładając do tego nieporadność językową Autora w efekcie otrzymujemy bełkot właściwie na każdym poziomie tego dzieła.

Oskarżenia o bełkot nie osłabia scenka czwarta, z której dowiadujemy się o śmierci młodego mężczyzny - i tutaj mam wrażenie, że Autor miał zamiar napisać opowiadanie w tonie onirycznym, w

rzeczywistości śnionej, gdzie świadomość i logika są inne, gdzie, być może, ma przebywać po śmierci ów zamordowany. Takie założenia fabularne faktycznie dopuszczają pewne rozluźnienie konstrukcji fabuły, które koresponduje z treścią utworu. Wiadomo, inna rzeczywistość i logika. Niemniej, rozluźnienie konstrukcji nie może przecież oznaczać całkowitego fabuły braku (opowieść o czymś przecież musi być- i czytelnik musi mieć szansę to odgadnąć). A brak logiki w scenkach w żadnym przypadku nie może się przekładać na brak logiki i myśli przewodniej w tekście. Myślę, Autorze, że powinienesz poszukać porad dotyczących pisania na Warsztatach Fahrenheita. Szybko.

Neularger